PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 2. *Warszawa, 10 stycznia 1914.* Widok 3.

L. BRUNN.

Arystokracja poza narodem.

I.

Wchodzimy w okres walki już nie o formę, lecz o treść i podstawy naszego istnienia. Przebieg tych zapasów i końcowy ich wynik wywrą decydujący może wpływ na dalsze losy narodu.

Zrozumiano to chyba powszechnie, to też wszystkie warstwy i wszystkie jednostki, poczuwające się do zadań narodowych, mimo nawet różnic partyjnych, gromadzą się dokoła wspólnego sztandaru.

Jeden tylko czynnik pozostał na uboczu, jak gdyby wisząca nad nami wszystkimi groza zagłady jego dotyczyć nie mogła; czynnik poważny, niegdyś naczelny w narodzie: arystokracja.

Rażące to odosobnienie zwraca powszechną uwagę. Gdy wszyscy krzątają się, nawołują, zbroją się i ćwiczą — jedynie tam, na szczytach, panuje zagadkowa cisza. Więc też miljon oczu spogląda ku nim wyczekująco i miljon ust formułuje bezwiedne pytanie: czy tam są jeszcze głowy myślące i serca, które czują, czy też wymarło w nich i wystygło doszczętnie wszelkie tchnienie polskie — i na posadzkach martwych pałaców snują się już tylko trupy z poprawnym na ustach uśmiechem?

I wielu, bardzo wielu skłania się ku temu drugiemu przypuszczeniu, tak wyraźnie bowiem, jak jaskrawo przeziera z postawy naszych rodów historycznych obojętność i obcość względem wszystkiego, co się dokoła nich dzieje.

II.

To stanowisko arystokracji polskiej niemal że jest bezprzykładne w dziejach. Świadczy ono o zupełnym zaniku ambicji w tych domach możnych, tak trwale niegdyś zespolonych z potęgą i świetnością państwa polskiego, a później tak ściśle z jego upadkiem sprzęgniętych...

Arystokracja zawsze odgrywała u nas rolę wybitną, przesadnie nawet wygórowaną, bardziej w ujemnym, niż w dodatnim kierunku. Niekiedy godna podziwu, to znów potępienia, zdobywała się przecież na postacie ogromne zarówno w cnotach jak w występkach, nieraz dłonią żelazną znaczące karty dziejów.

Obecnie śmiało rzec można, że arystokracja, jako czynnik polityczny i narodowy, w *żadnym* nie pozostaje stosunku do życia polskiego. Nie wiadomo wcale, czy jest złą, czy dobrą, czy chowa w sobie skarby genjuszu, czy też pustkę rozkładu beznadziejną. To jedno wiemy, że istnieje, rozrasta się nawet, ale życie to jakieś odrębne, zasklepione w kastowym egoizmie, jak gdyby poza nawiasem narodu.

Nie było by w tym nic złego, gdyby

historyczne nasze rody nie zamykały się w swoim ustroniu wespół z całą swą materjalną potęgą, która na ziemiach polskich stanowi bodaj że jedyny prawdziwie wielki kapitał, będący w posiadaniu rdzennych mieszkańców kraju, a w bilansie naszych sił mogący znaczną odegrać rolę.

Magnackie te fortuny są jakby pośrednią po Rzpltej spuścizną, powstałą dawnymi czasy z darowizn hojnych, którymi królewskie szafowały dłonie, i mimo nawałnic dziejowych, trwającą dotąd, choć zniknął tron i wymarło pole elekcyjne, gdzie niby w szrankach szły w zawody ze sobą ambicje pysznych oligarchów.

Jakżeby mogło zapomnieć o tym społeczeństwo, któremu brzmienie pewnych nazwisk stawia przed oczy ową dawno minioną a nieśmiertelną przeszłość? Jakżeby mogło zapomnieć, gdy szereguje swe siły i oblicza skąpe swoje bogactwo, znajdując niezmiennie ziejące próżnią luki tam właśnie, skądby jedynie skuteczny mógł nadejść sukurs?

Z chwilą zaś, gdy sprawy polityczne i narodowe zeszły już nieodwołalnie na teren realnych interesów i zajadłej walki o byt — każdorazowy taki wynik rachunku daje się nam dotkliwie we znaki, budząc zrozumiałe chyba rozgoryczenie.

Oto dlaczego sprawa naszych «rodów historycznych» stanęła dziś na porządku dziennym i powinna być wyjaśniona. Społeczeństwo chce wiedzieć, czy na nie jeszcze liczyć można, czy też bez nich już obejść się należy.

III.

Nikt nie pokłada zresztą w ludziach o krwi błękitnej wielkich nadziei, nikt nie spodziewa się po nich czynów nadzwyczajnych; minęły bowiem w Europie, jak minęły w Japonji heroiczne czasy *daimios*'ów. Młode społeczeństwa na trzech dalszych kontynentach rozpoczęły swój rączy pochód bez balastu przeżytków feodalnych; republika francuska, po dłuższych zatargach ze swą arystokracją, odsunęła ją od udziału w życiu politycznym a nawet gospodarczym, pozwalając historycznym rodom dąsać się w pałacach przedmieścia Saint-Germain. W Anglji, gdzie możnowładztwo w najbardziej może klasyczne wybujało formy, rosnąca siła demokracji zmogła polityczną wszechmoc landlordów i niebawem zniesie i materjalne ich przywileje. Dążeniom tym sprzyja — choć napozór dziwnym się to wydaje — zwyczaj zaszczycania tytułem lordowskim ludzi wybitnych, zasłużonych na polu nauki, pracy, przemysłu, wojny i dyplomacji, to też możnowładztwo angielskie zasila się wciąż dopływem czerwonej krwi mieszczańskiej i doborem tym odpowiada ściśle greckiemu słowu: *aristoj* — najlepsi.

W sąsiedniej monarchji habsburskiej jest po dziś dzień arystokracja wespół z klerem podporą dynastji, kastą piastującą nieomal wyłącznie odpowiedzialne funkcje państwowe.

W Niemczech dzieje się to samo: olbrzymia postać żelaznego księcia dotąd góruje z poza grobu nad wielomiljonową ciżbą mieszczan i rolników, jako wcielenie germańskiego genjuszu.

Nawet w Rosji, gdzie rody historyczne nie należą bynajmniej do sfer t. zw. miarodajnych, zauważyć się daje dość znaczny udział arystokracji w życiu umysłowym i społecznym.

Jedynie w Polsce, która uchodzi przecież za kraj z wybitnie arystokratyczną kulturą — owe szczyty społeczne żadnych nie zdradzają dążeń, żadnych poważnych aspiracji, a nieliczne wyjątki tylko potwierdzają regułę.

Możebyśmy nawet zapomnieli o nich zupełnie, gdyby nie przypominano się od czasu do czasu to wielką jakąś przegraną w karty, to niezwykłym jakimś giestem, to głośnym aktem zaprzaństwa, lub nawet — wypadkiem, pamiętnym w kronikach sądowych.

IV

Gdyby zdmuchnąć powierzchowną piankę życia i użycia szumiącego w ośrodkach światowych zabaw, balów, rautów, klubów, wyścigów, kąpieli — toby się okazało, że tu się kończy właściwa rola naszej arystokracji. Gdy w krajach ościennych ludzie, których nazwiska wymienia Almanach Gotajski, dźwigają ciężar wielkich obowiązków, arystokracja nasza trwoni czas i pieniądze na płoche rozrywki.

Nic to dobrego nie wróży: z upadkiem

wszelkiej powagi myślenia i czucia idzie w parze frymarka ziemią — że przypomnę tu tylko sprawę Rydzyny — i szybki zanik instynktu narodowego. Narody podbite psuły się zawsze od szczytów, podczas gdy ludowe ich fundamenta niezmożoną zdradzały żywotność: tak było u Słowian południowych i zachodnich, gdzie ostał się tylko gmin i doprowadził później do świetnego znowuż odrodzenia; tak dzieje się u nas potrochu na kresach zwłaszcza zachodnich.

Wszędzie, gdzie naród podlega natarciu państw obcych—kruszą się i odpadają zwierzchnie jego warstwy.

A wstępnym w tej mierze okresem jest ów znamienny bezruch, ten paraliż ducha, w który popadło — przedwcześnie — nasze możnowładztwo.

Polska przecież, mimo wszystko, do grobu się nie chyli. Minęły te czasy, kiedy ścierano z powierzchni globu całe narody po jednej przegranej bitwie; dziś ludów tępić nie można, a i wynaradawiać coraz trudniej wobec postępów oświaty i samowiedzy. W każdym z dzisiejszych społeczeństw tkwi zaródź nieśmiertelności; uruchomione w zasobach swych duchowych i materjalnych, świadome swych zadań i środków stawić może czoło i nasze społeczeństwo najsilniejszej nawet nawałnicy: ugnie się, ale nie złamie.

Konieczność takiej mobilizacji daje się właśnie odczuwać; wszystkie w nią siły, wszystkie zasoby kładąc, zewsząd ściągając środki — ogół polski zwrócił w końcu wyczekujący i badawczy wzrok ku t. zw. rodom historycznym.

V

Na czemże dziś polegać może czynna i dodatnia ich rola?

Przedewszystkiem — na lokacie nieczynnych dotąd kapitałów w polskim przemyśle i handlu, z wielką zresztą i dla siebie korzyścią. Następnie — na podźwignięciu kultury i oświaty w miastach i wsiach, otaczających pańskie rezydencje. Wreszcie, na tworzeniu wielkich fundacji naukowych i kulturalnych, w czem historyczne nasze narody zostały wyprzedzone przez mieszczan obcego pochodzenia.

Przypuśćmy, że ten program został wykonany, z wielkim dla kraju pożytkiem. Czy wysunie się przez to możnowładztwo polskie znów na czoło narodu, jak roją niektórzy marzyciele? Sądzimy, że nie.

Zarówno szlachta, jak arystokracja polska posiada z pewnością wiele wybitnych i bardzo zdolnych jednostek, ale za ich przewodem, jako pionierów tudzież ideologów kasty—ogół nasz nie pójdzie, jak nie pójdzie też pod komendę czwartego stanu, zalecaną przez innych znowuż marzycieli.

Przyszłość nasza nie jest ani arystokratyczna, ani robotnicza, ani chłopska; jest pośrednia. Losy narodów rozgrywają się dziś na terenie mieszczańskim; aby uzgodnić się z duchem czasu, musi arystokracja skwitować z uroszczeń odrębnych, a lud robotniczy i wiejski wyrobić w sobie cnoty mieszczańskie, których Polska nie zna jeszcze, ale które potrochu cenić zaczyna.

ORJON.

Echa Prawdy.

I. Szambelan August poucza... — II. Potomstwo szambelana Augusta. — III. Dwie twarze pana Hammerszlaga. — IV, Patrjotyzm pana Drygała. — V. Saturnalje w Krakowie.

I. W czasach, kiedy Kościuszko uczył chłopów przekuwać kosy na broń, a Dąbrowski formował we Włoszech legjony — stary szambelan przykładał największą wagę do spożywania co wieczór talerza rozgotowanych śliwek; ten bowiem zwyczaj miał król Stanisław August i jego brat książę podkomorzy.

«Chwilami przestawał żuć i patrzył, to na lustro przed kominkiem, to na stojące przed lustrem grupy saskich figurynek, to na szklany ekran przed ogniem — i monologował:

— Ach, miłe czasy! Zdawałoby się że ludzie stojący u góry powinniby się wreszcie porozumieć — tymczasem — nieprawda! Mało im było jeszcze wojen, przemarszów wojskowych, rozbiorów i rewolucji... mało nieszczęść i zniszczenia... Jaki ten spokój teraz jest, taki jest — a oni chcą go zamącić. Miłe czasy!.. Odezwy. legjony i generalny rozgardjasz... Pan marszałek Małachowski, o ile mu Austrjacy pofolgują, będzie znów kokietował z Karlsbadu z rewolucją,

która zamordowała króla... Pan Ignacy Potocki także... Pan hetman Ogiński światami goni.. Bars i Mniewski w Paryżu konkurują o łaski sankiulotów. Dmochowski podciął habit i stał się jakobinem, a Dąbrowski formuje legjony..

Na co? dlaczego? przeciw komu? I chodzi im niby o ojczyznę. Ojczyzna? Owszem!.

Nam też o nią chodziło.. nie chcieliśmy się jednak porywać z motyką na słońce, bo tak czynią tylko tacy ludzie, którym brak piątej klepki....

Następnie przerwał monolog i począł znowu żuć, narzekając pomiędzy jedną a drugą śliwką, że w niektórych są pestki, wreszcie odsunął talerz i mówił dalej:

— I tego ani trochę nie rozumieją, że dziś idzie o rzeczy ważniejsze...

Przyszedł czas, że ludzie lepszego urodzenia powinni we wszystkich krajach skupić się koło monarchów... Na potem spory, na potem porozbiorowe żale. Zapewne, że stało się nieszczęście, ale się stało i na to niema rady. Dziś trzeba myśleć o czem innem... trzeba ratować kapitalne pryncypia, które motłoch podeptał we Francji nogami... to główne zadanie... A co do nas — jeśli dwory spostrzegą, że znajdą w nas podporę, to nie będzie nam źle. Nietylko własna korzyść nakazuje trzymać się dziś dworskiej klamki, ale i patrjotyczny obowiązek.. I należy się z tem śpieszyć, póki nas chcą, bo mogą nadejść takie czasy, że nas nie zechcą»...

Te złote słowa kładzie Henryk Sienkiewicz w usta szambelana Augusta, który żył i rozmyślał na schyłku XVIII-go wieku,

II. Szambelan August ożenił się w bardzo podeszłym wieku. Nie dał się przecie ubiec marszałkowi księciu Richelieu, który doośmdziesięciu lat spisywał się pono jak muszkieter.

I spłodził szambelan August liczne potomstwo, które poszło w ślady niezapomnianego rodzica i z kolei wpoić zdołało w swą progeniturę zbawienne zasady, że:

— Pierwszą mądrością prawdziwie rozumnych ludzi jest być dobrze z rządem, który nad nimi panuje!

Aż wreszcie zrozumiano w bliższym i dalszym otoczeniu, że «idzie o rzeczy ważniejsze» niż jakaś tam «ojczyzna», że trzeba «ratować kapitalne pryncypia» i trzymać się dworskiej klamki.

Krzywił się jeszcze tu i owdzie magnat polski, że na dworze pruskim czuć pono słodem, a szambelani noszą tam bawełniane pończochy, rękawiczki zaś tylko w niedzielę... Przemogli się jednak: ks. Radoliński z Jarocina został ambasadorem niemieckim w Paryżu, a wcześniej jeszcze hr. Raczyński nie pozwolił synom swym poślubiać Polek. W te tropy poszli hr. Bogdan Hutten-Czapski ze Smogólca i hr. Ignacy Korwin-Milewski z Gieranon i księżna Magdalena z Zawiszów-Kieżgajłów *primo voto* Krasińska, *secundo voto* Radziwiłłowa i książę Rafał Radziwiłł zUbarek, który nawet odprawił służbę polską i otoczył się sforą kozaków i czerkiesów. To samo hr. Roman Andrzej Szeptycki, wnuk Fredry, to samo hr. Benedykt Tyszkiewicz z Zielonej, to samo ks. Drucki-Lubecki, który pozostał wprawdzie «katolikiem» lecz obraził się, gdy go na wyborach zaliczono do kurji polskiej.

Tak poczyna sobie liczne na ziemiach polskich potomstwo szambelana Augusta. Czcigodne, świetne nazwiska Zawiszów, Taczanowskich, Fredrów, Krasińskich spoczęły nadmiernym brzemieniem obowiązku na ramionach, żądnych łaskawego poklepywania władczej dłoni.

Prawdziwy bowiem arystokrata nie za ojczyzną tęskni, lecz za dworem; ze wszystkich ciężarów najmilszy mu jest ciężar urzędów dworskich, a jeśli czasem nadstawi piersi — to po to, by na niej zawisnął order obcej zasługi.

Jakże tu dziwić się, że nasze rody historyczne świecą nieobecnością wszędzie, gdzie wre praca narodowa? Raczej za niemałą zasługę, ba! nawet za ciężką z ich strony ofiarę poczytać należy to, że przyznają się jeszcze do narodowości polskiej, mimo głęboko wpojonych zasad niezapomnianego rodzica, który głosił:

— Ludzie lepszego urodzenia powinni we wszystkieh krajach skupiać się koło monarchów. I należy się z tem śpieszyć, póki nas chcą, bo mogą nadejść takie czasy, że nas nie zechcą.

III Pan Hammerszlag senior, wielokrotny prezes i członek zarządu różnych towarzystw akcyjnych, jeden z filarów giełdy i zarazem jeden z najwybitniejszych notablów gminy żydowskiej — odetchnął z ulgą, kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim z naiwnych Sarmatów, przed którymi on, Hammerszlag, udawał niezmierną dbałość o dobro polskiego społeczeństwa.

W obliczu wielkiego finansisty zaszła zmiana raptowna, jak gdyby spadła zeń maska trzymana wytrawną siłą woli; nawet sędziwa broda zmieniła swój wyraz powagi senatorskiej na starozakonny majestat patrjarszy; nie było świadków; pan Hammerszlag mógł się już nie krępować...

Niecierpliwym ruchem ręki, mrucząc niewyraźne biblijne złorzeczenia, zgarnął ze stołu i rzucił do kosza sterty sprawozdań i programów różnych instytucji społecznych polskich, gdzie na honorowym figurował miejscu; poczym z oznakami wielkiego szacunku i wielkiej również czułości

wydobył i rozłożył na biurku dwa dokumenty wielkiej wagi, znaczące zwycięski pochód Izraela w tym kraju.

Był to mianowicie numer jubileuszowy *Nowej Gazety* i *Sprawozdanie* z pierwszego roku działalności *Tow. popierania pracy rolnej i rzemieślniczej wśród Żydów.*

Pan Hammerszlag, człek doświadczony i trzeźwy, niedbałym i lekceważącym okiem przejrzał prace publicystów, broniących z «wielką godnością» (jak sądzi *Dziennik Polski*) półwiekowych zaborów żydowskiego handlu i przemysłu na ziemiach polskich, ale twarz jego rozjaśnił uśmiech tryumfu i dumy na widok sążnistych reklam i ogłoszeń, świadczących o zaklętej w pieniądz potędze ludu wybranego.

Z lubością, z namaszczeniem wertował kolumny, wypełnione nazwami znajomych i pokrewnych firm i mruczał do siebie:

— Zawiercie — Wołyń — Józefów — Czersk — Łubna — Michałów...

Dźwięczały te słowa w jego uszach pobrzękiem wielu miljonów i bojowym szczękiem oręża mnogich defilujących pułków i czuł się w owej chwili stary Hammerszlag prawdziwym hetmanem, odbywającym jeneralny przegląd wojsk.

Ukończywszy tę pracę, zamknął zbożnie *Gazetę* i sięgnął z kolei po *sprawozdanie*: ujrzał tych samych ludzi, te same nazwiska na czele krociowego zastępu, który nie szczędził przez rok cały ofiarnej i wytężonej pracy, by żydowski stan posiadania wesprzeć, powiększyć, wkopać w glebę i raz na zawsze przed atakami zasłonić.

— Tam była rewja, a tu jest mobilizacja — medytował Hammerszlag. — Wybornie: wszyscy stawili się do apelu, wszyscy maszerują zgodnie: litwak i asymilator, wolnomyśliciel i rabin, bankier i socjalista, chasyd i postępowiec: nigdy Izrael nie był tak potężne i świadomie zwarty!

— Aha! Teraz legja cudziemska: panowie ochotnicy: Baranowski Ignacy prof., Iwanow Arkadjusz... Bardzo, bardzo szlachetni panowie! dodał z niewysłowionym sarkazmem i uśmiechnął się brzydko, a w tym uśmiechu krzywym i zjadliwym dobyły się nagle na wierzch wszystkie ukryte Shylockowe rysy...

— Jaśnie Wielmożny Pan Wywłok-Wywłoczko! — oznajmił lokaj głosem stentora.

Pan Hammerszlag szybkim ruchem ręki ukrył plany «mobilizacji» i przywołał ponownie na twarz wyraz hetmańskiej powagi.

IV. Nie byłby świat wiedział o cnotach obywatelskich Jacka Drygała, gdyby szczęśliwe warunki naszego życia nie wydobyły tych cnót z ukrycia, gdzie rosły utajone nakształt skromnych fijołków.

Był-ci Jacek Drygał jeśli nie *bene natus* to *posessionatus* na obfitej w ugory i piachy ziemi mazowieckiej, a gdy wypadało coś dla kraju uczynić dobrego, to milczał niezłomnie i krył się za plecami innych, pragnąc widocznie ukrócić i zmóc w sobie grzeszną a nieprzystojną pychę.

Dopiero później, gdy wyjaśniło się już dostatecznie, że prawdziwy patrjotyzm polega nie na tym, aby coś nowego tworzyć, ale na tym właśnie, żeby się od wszelkiej nowizny odgradzać a cudzą inicjatywę niszczyć — wówczas dopiero uderzył Jacek Drygał w czynów patrjotycznych stal.

On to pierwszy ryknął: Nie pozwalam! gdy powzięto zamiar wyzyskania nowego prawa o nauczaniu powszechnym, by przelać nieco światła w zakute lechickie łby; i niby zraniony tur oblecial z tym rykiem wszystkie okoliczne sioła; poczciwa brać siermiężna chętny dała posłuch patrjotycznym wrzaskom Drygała, ile że zawdy lepiej słynąć za dobrego Polaka, złożone mając na żywocie ręce, niźli grosza i pracy nie skąpić na to, by w końcu ściągnąć na się potępienie za brak patrjotyzmu.

Pytano tylko gwoli spokojności sumienia:

— A szkoły prywatne polskie założymy?

— Założymy! — przyrzekał solennie Jacek Drygał, rękę na bekieszy kładnąc w miejscu, gdzie zwykł pełny pulares chować — założymy!— głosił wszem wobec i każdemu z osobna, okiem srogo łypiąc i żółtego wąsa nastroszywszy.

I nic oczywiście nie «założono», ale fama służebna rozniosła po kraju patrjotyzm dzielnego męża, godnego obok Rzymian starożytnych stanąć, i odtąd ta fama towarzyszyła mu aż do zgonu.

I stał się pan Drygał osobą na Mazowszu znaczną, liczono się z nim powszechnie, a gdy w sąsiednim grodzie gubernialnym powzięło kilku żydowinów zamiar przy pomocy ziemiaństwa bank akcyjny założyć, przemysł i handel krzewić, kraj z uśpienia wytrącać — pierwszy Drygał powstał potężnie na te niecne zakusy i rychło je w niwecz obrócił.

— Obywaliśmy się dotąd bez banku — grzmiał bawolim głosem — obędziem się i nadal! Mnie tam, Bogu dzięki, żaden kredyt niepotrzebny, człek jakoś koniec z końcem wiąże!

Historyczne te słowa roztrąbiła prasa miejscowa z tryumfem, a za nią powtórzyła je prasa stołeczna z uznaniem; okoliczni ziemianie poszli znów ławą za Drygałem, ile że łatwiej mieszka nie rozwiązując i nie natężając głowy czyny patrjotyczne spełniać, niźli w trudne jakoweś kombinacje z Żydami wchodzić, aktywa i pasywa, przekazy i czeki, *conto* i *loro* rozważać.

Tym razem nikt już nie pytał:

— A czy sami bank polski założymy? —

bo dla każdego było jasne, że prawy Polak może się snadnie bez banków obejść.

Kiedy wkrótce potym począł przyjezdny Niemiec-inżynier namawiać, żeby wspólnymi siłami kolej zbudować i cukrownię i tartak postawić — nie potrzebował już nawet Drygał ust otwierać, aby sąsiedzi, spojrzawszy jeno na mądre oblicze zacnego męża, w lot zrozumieli, że to są rzeczy zbyteczne.

Tak więc dowiódł pan Jacek Drygał wzorem własnego żywota, że kto pragnie rzetelnie dobra ojczyzny, powinien ręce na piersi skrzyżować, nogę na nogę założyć i palcem w bucie gorliwie kiwać, a wnet za Katona sarmackiego zasłynie i opromieniony tą glorją wszemu narodowi przyświecać będzie.

V. Pisze nam z Krakowa Juljusz Kaden o minionych świętach:

Na rogach ulic (dziwnie się stały okrągłe od dni kilku) zatrzymuje się co krok, to tu, to tam przyjaźń staropolska, podpita, chwiejna.

Łyk łyka za guzik, miast pasa, przytrzymuje, przestępują z nogi na nogę, solennie i poczciwie, czapki zdjęli, z tłustych łysych pałek się kurzy — i «widzisz bracie» — powiadają — i szorują jeden drugiego niewygoloną gębą o gębę. Wzięli sią pod ręce i kroczą szanownie — to zależy: albo do handlu albo do handelku.

Patrzcie, — za chwilę obaj dyszeć będą zamaszyście nad otwartą gardzielą kufla, szeroko, niby rekiny, otwierając usta, ku wdzięcznym kanapkom. Tak pokrzepieni udadzą się na obiad, potym coś tego, żona, dzieci, rodzina... I znów — żarcie!!

Żarcie, żarcie, żarcie... słowo to zdaje się drżeć, furczeć w powietrzu świątecznego Krakowa, zgrzyta pod podeszwą na bruku, pryska ostrym rozgłosem tłuszczu na rozpalonej blasze, tętni w skroniach matron szanownie ciężkich.

Żarcie, żarcie!! Przyczaiło się niecierpliwie w kątach zakrystji, pośpiechem świątecznym igra w szybko zrzucanych ornatach a kadzidło snuje się pod sklepieniem, niby obłoczek sposobionych powszędy chrustów...

Żarcie, chrust-chrust!! Wyciąga się skostniałe w sztywnych, gołych kształtach gęsi «po żydowsku», z przebitą widelcem tragicznie piersią, zezuje obleśnie w mętnych kieliszkach wódki i cicho, ciszej, — posłuchajcie... Słyszycie jak sapie w piance piwa... Tak cicho, jakby się modliło do was!... To ono! — Żarcie!!!

Chrust-chrust, słuchajcie jeszcze: chrust-chrust... To nie świnie, nie świnie — to my!

Dziś wszyscy, wszyscy w Krakowie najadają się, powinni się najeść. Jest to ich obowiązkiem tradycyjnym, w obronie tradycji, jest ich ciężkim, psim-sobaczym obowiązkiem.

Ojczyzna, panie dobrodzieju, i tego, tylko nie rozumiem, dlaczego — uważasz pan — Edward VII odpinał jeden guzik od kamizelki a nie wszystkie.

Chrust-chrust kłuje wam, dźga i źga dziąsła, jakbyście kawał rżyska żuli, a ten tłuszcz, panie, ten smalec, czy omasta, — słowem to maszczące, to dobre, panie, to jak ta więź: kochajmy się czy jak?... Że to się przez to, — wszystko z kupie trzyma — polski lud, wszyscy razem, wszyscy na jednego....

Chrust-chrust — to nie świnie, to my...

Wszystko niech je! Dać chrustu Mickiewiczowi, co go oskoma ściska naprzeciw naszych okien, Grottger niech się nie wstydzi i niech je, o głową śpiżową niechże się tak nie boczy.

Dać chrustu temu Jagielle z plant, co tam stoi w bieliźnie i patrzy w wiecznie pusty Rondel, a nie krzywdzić Lilli Wenedy! Polusom, w krąg stłoczonym, pod kapitelem Sukiennic, wyczekującym — gęby zatkać, na kamieniu Kościuszki pączkami znak wyłożyć!

Żarcie — chrust — pączki! Wypinają się cieplutkimi złotawymi brzuszkami, naiwne i smakowite.

Dać wszystkim!

S. POWICHER.

Z rozsypanego — różańca.

I.

Jest w parku Wilanowskim olbrzymia topola,
Dźwigająca na sobie chwałę trzech stuleci:
Słońce ją wychowało, sadził zaś — Jan Trzeci.
Trwa i duma. Gdy wiatr leci przez jesienne pola,
Drzewo pyta: — «Król gdzie? Wojuje? Grzmi w stepaoh Podola?»
— «Spytaj — drwi wiatr — piorunów: Piorun cię oświeci!

II.

Czemu w tę noc okrutną iść nam każesz, boże?..
Czemu we wieczność ślepą ciskasz nasze trupy?
Krzyże nagrobne twoje-ż to graniczne słupy,
Których miłość, ni rozpacz, ni strach nie przemoże?
Wszystkie-ż uściski życia w śmierci wiążą się obroże?...
Ha! więc na trumnie mojej, boże, siądź i licz swe łupy!

CZESŁAW JANKOWSKI.

Osaczeni.

Z CYKLU: «WSKAZANIA».

II.

W Niemczech zapamiętałe zwalczanie wszelkiej „polskości“ ma silne podłoże natury ekonomicznej. Niemcy wypierają Polaków z warsztatów wszelkiego zarobkowania i ze wszelkich dochodowych placówek, nie dlatego, że znieść nie mogą widoku... konfederatki, lub że ich słuch nie znosi brzmienia mowy polskiej, tem mniej dlatego, że obawiają się „separatyzmu“ polskiego, jakichś „powstań“, mających na celu odbudowanie niezależnego państwa polskiego... nad Gopłem, u gniazda legendowych orłów białych — ale po prostu dlatego usiłują wszelkiemi sposobami wygnać Polaków z ziemi b. Wielkopolskiej lub wytępić ich na tej ziemi, ponieważ im samym, rdzennym Niemcom, ciasno już robi się niezmiernie w granicach Germanji. *Ote toi que je m'y mette!* Żywiołowe spychanie... brata w Chrystusie z zajmowanej przez niego piędzi ziemi dlatego, aby zająć jego miejsce.

W Rosji względy ekonomicznej natury, współzawodnictwo przemysłowe, oraz przeludnienie nie grają prawie żadnej roli w obecnym, trwającym od stu lat z okładem wystawianiu polskich poddanych państwa na najdotkliwsze próby. Niechęć Rosjan do Polaków, dochodząca do nienawiści, jest, aby się tak wyrazić, bardziej natury moralnej niż jakiejkolwiek innej. Dusza rosyjska, urabiana przez całe stulecia całkiem inaczej niż dusza polska, nie może zrozumieć... o co Polakom chodzi. Drażni i wyprowadza Rosjan z siebie to, że ci, tacy słabi Polacy, wiecznie rwą się do takiego powietrza, w którem zaklinają się, że byłoby im lekko i dobrze żyć, a na które Rosjanie—wzruszają ramionami. Stosunki rosyjsko-polskie są jednym łańcuchem nieporozumień. Wchodzi powtóre w grę niejako atawistyczne współzawodnictwo Rosjan i Polaków o przodowanie, jeżeli nie o panowanie na Wschodzie Europy. Rosjanie już przed wiekami odrzucili precz Polaków od monarszego stolca, z którego (o czem wiedziały dobrze oba narody) panuje się lub będzie się panowało na całej wschodniej połaci kontynentu europejskiego. Ale pozostała w duszy rosyjskiej zaciętość, wrogość, podejrzliwość względem Polaków — do siódmego pokolenia. Niemogą Rosjanie zapomnieć Polakom, że z ich przyczyny o mało, o mało że nie wymknęła się im rola... którą obecnie grają. Psychologja narodów jest ogromnie podobna do psychologji jednostek ludzkich... Po trzecie, naród rosyjski czuje, że z bratem-słowianinem i współobywatelem nie postąpił jednak i nie postępuje — idealnie. I znowuż odruch usprawiedliwiony psychologicznie popycha go do zagłuszania w sobie tego głosu sumienia powoływaniem się z wielkim patosem na rację stanu. To trudno! Naród rosyjski właśnie tem zdobył sobie stanowisko, które w świecie dziś zajmuje, że postępował zawsze bezwzględnie, twardo, nieubłaganie ze wszystkiemi czynnikami, które mogły wielkość i potęgę narodu rosyjskiego wzmocnić, a które tego uczynić nie chciały. Naród rosyjski ujarzmił przecie i zgniótł oligarchję własnych bojarów! Miałżeby nie dać sobie rady z prostym łupem swoim zdobytym jeżeli nie na ostrzu miecza to na ostrzu dyplomacji, z takim łupem swoim jak Polacy? I naród rosyjski rozkłada ręce, marszczy brwi i powiada braciom-współobywatelom: „Niemożemy inaczej! Musimy was ugiąć, skruszyć, uczynić z was garść mułu, którą wzmocnimy gmach naszego wspaniałego państwa! To mus, to konieczność. Niech tylko poddamy się wzruszeniu i sentymentalnym ideologjom — zginiemy! Zginiemy sami! Jakże chcecie, abyśmy dbali bardziej o skórę waszą niż o własną?“

Nie roztrząsajmy, czy racjonalne są te „konieczności“ uczynienia z Polaków w granicach Państwa Rosyjskiego jakby biernych niewolników — panującego narodu rosyjskiego; czy dogmat o absolutnej spoistości państwa *pod każdym względem*, o zniwelowaniu w nim wszelkich różnic np. kulturalnych lub narodowościowych, nie jest przypadkiem — anachronizmem? Dość, że to, co dzieje się na widowni stosunków rosyjsko-polskich, dzieje się w imię: nierozerwalności państwa, zunifikowania wszelkich różnic kulturalnych, narodowościowych, wyznaniowych, w imię dogmatu o sile i potędze tylko takiego państwa, które taką fuzję, takie stopienie w retorcie swego życia wewnętrznego dokonało.

Nie potrącajmy o resztę przyczyn, wywołujących zmaganie się z sobą: nacisku rosyjskiego i polskiego oporu. A moglibyśmy wskazać na tych przyczyn całą sieć rozpiętą po społeczeństwie rosyjskiem i podżegającą w niem niewyczerpaną nigdy polskofobję.

Niemcy, naród spokojniejszy, wytrawniejszy i rozważniejszy niż naród rosyjski, nie myślą — pozbywać się Polaków, jako żywiołu społecznego bądź co bądź wartościowego. Niemcy wytężają wszystkie siły, aby wchłonąć w siebie żywioł polski, zasymilować go, wynarodowić i obrócić go w powolne narzędzie potęgi... Germanji.

Sangwiniczny, niecierpliwy, zniechęcający się łatwo naród rosyjski, nie wdrożony do wysiłków planowych a na daleką metę, widząc, iż wynaradawianie i asymilowanie żywiołu polskiego idzie oporem, radby (w chwili rozdrażnienia)... pozbyć się tego niewdzięcznego zadania, tej ambarasownej i ciężkiej „misji historycznej". Nie można? — no to i nie trzeba! Obejdzie się wielka Rosja bez garści Polaków. Niech idą sobie na złamanie karku dokąd ich oczy poniosą!

Ponieważ jednak wielki plan polityczny Mikołaja I i... Mieńszykowa „odstąpienia" Królestwa Polskiego Niemcom gdyby nawet był wykonalny, niedałby się urzeczywistnić z poniedziałku na wtorek, przeto — musi stary, tradycyjny kurs polityki antypolskiej, ze wszystkiemi onego utartemi środkami i sposobami, trwać. Więc nacjonalizm rosyjski (a tak dziś potężny!) w dalszym ciągu Polaków dojeżdża, najeżdża, smaga, targa wędzidłem raz w tę, drugi raz w ową stronę, drażni, wyrządza im niezliczone „przykrości" ze złośliwą uciechą, dogadzającą bezmyślnie głębokiej — antypatji.

Byłoby z naszej strony bardzo wielką nieoględnością zamykanie oczu na fakt, że zarówno antypolska akcja niemiecka jak antypolski kurs polityki rosyjskiej zadają narodowi naszemu systematycznie dotkliwe ciosy. Nacisk dwóch wielkich państw na garść niezorganizowanego, bezbronnego społeczeństwa niemoże przecie niebyć fatalnym dla tego społeczeństwa, choćby to społeczeństwo było reprezentantem cywilizowanego i odwiecznego narodu. Nacisk Germanji i Rosji robi swoje. Wynaradawia jeżeli nie etnograficzne jądro narodu polskiego, to narodu tego wybiegi kresowe. Zarówno naród rosyjski jak naród niemiecki oblewające, aby się tak wyrazić, wysepkę narodu polskiego, wyszarpują tej wyspy brzegi, podmywają je, odrywają kawałami nasz narodowy stan posiadania. Całe grupy narodu naszego idą szukać doli i niedoli w otchłani bądź narodu niemieckiego, bądź rosyjskiego, trwają tam czas jakiś jako „kolonje polskie" a następnie giną, roztapiają się w rosyjskiem lub niemieckiem „morzu". Z drugiej strony niepozostają bezowocnemi wysiłki obu potężnych państw, mające na celu wyrwanie nam z pod nóg — ziemi. Własność ziemska polska topnieje wszędzie dokoła Polski etnograficznej. Nie kwapmy się tego zjawiska przypisywać całkowicie akcji politycznej obu państw, obezdomniających planowo i systematycznie Polaków, ale też i nie lekceważmy tego, co dokonał Murawjewowski zakaz nabywania przez Polaków ziemi w t. zw. Kraju zachodnio-południowym, oraz co dokonała i dokonywa pruska organizacja kolonizacyjna, poza którą stoi w odwodzie uchwalone już wywłaszczanie.

Znajdujemy się my, stanowiący jądro narodu polskiego, jakby w żelaznej obręczy, zaciskającej się powoli... Oczywiście, że główną moc tej obręczy nadają obie państwowości: rosyjska i niemiecka, ale są jeszcze w tej obręczy ogniwa pomniejsze, dopełniające przedziwnie to wszechstronne, ścisłe osaczanie, wśród którego sądzono nam wieść żywot nieopisanie ciężki, szarpiący nerwy i fatalnie demoralizujący.

Ogniwami temi, niejako dopełniającemi akcję obu potężnych narodów, są poszczególne nastawania na żywioł polski: takich *nowych* do znacznego stopnia współzawodników naszych o piędź ziemi, o miejsce na niej, o prawo do życia, o łyk powietrza, jak — Rusini, Litwini, Żydzi, „Ukraińcy", Białorusini.

Rzecz prosta, że te „potencje" nie kuszą się nawet o asymilatorskie wchłonięcie w siebie zawadzających im żywiołów polskich, że nie wynaradawiają nas, nie litwinizują, nie semityzują, nie ukraińczą, i t. d. jeno tylko — wypierają nas. Dokąd? Gdzieindziej! Choćby na księżyc, nie troszcząc się i nie deliberując (jak np. Mieńszykow) co się z nami stanie!

ST. BRZOZOWSKI.

Książka — o starej kobiecie.

(Z teki pośmiertnej).[1]

8)

Sędziwa Roksana Miwcawer powiedziała to jedno tylko o twoim czynie: — Powiem cieniom Shelleya. Ona godna byłaby być żoną Kanta — mówiła Eleonora — i Blake'a.

Justynka do dziś dnia nieustannie szuka po encyklopedjach postępowych, kim był ten Blake i ktoś musiał powiedzieć o tem Aleksandrowi, gdyż on zapewniał mię, choć go znienacka zagadnąłem, że to był malarz i poeta Swedenborgjanin i że rozbierał się razem z żoną, do naga, kiedy czytał biblję. On miał takie babskie złośliwości ten wasz wyższy człowiek, a o tem wszystkiem mogli mu tylko powiedzieć anarchiści mistycy, bo u nich

[1]) Początek niniejszej powieści otrzymać mogą nowi prenumeratorzy, na żądanie, w Administracji «Prawdy» bezpłatnie.

szukał informacji. Przypominają mi się słowa Marxa z „Heilige Familie", gdy widzę tego rodzaju metody polemiczne, ale nie mogę ich tu cytować, bo trzeba przeczytać 73 stronice tej rozprawy i znać książkę Bruno Bauera, a także fenomenologję Hegla i wykłady Gansa, by zrozumieć ten dowcip — inaczej go się wcale niezauważy. Wasiutyński jest zdania, że Marx jest najdowcipniejszym polemistą, ale że trzeba mieć nieraz czas kilku tygodni, by ten, lub inny odcień zrozumieć; na tem się zasadza wyższość produkcji uspołecznionej, że pisarz ma prawo uważać za znane wszystko, co powiedział ktokolwiek bądź inny i nie dążyć do niemożliwego separatyzmu.

I do takiej to kobiety, w takiej chwili, i to w mieszkaniu Teofila Łaguny odwrócił się plecami Alaksander. Są chwile przełomowe — i dla mnie ta scena była zawsze analogją do tej, jaką opisuje Mickiewicz w III-ciej części Dziadów między księdzem Piotrem i Nowosilcowem. Tylko i tu występuje różnica. Justynka nie opierała się na mistycyzmie, ona wiedziała napewno i widziała: Jakby zegarek stanął, tak zatrzymała się w moich oczach dusza tego chłopca—mówiła, — i podczas gdy kryształowe koła ewolucji biegły dalej w swym Heraklitowskim obrocie. On już tylko bzykał jak opuszczona przez transmisje sprężyna. Mój Tytusie — mówiła — mój Leonardzie, my nie stańmy się nigdy taką opuszczoną przez djalektykę maszynę zegarową.

Ach, to jest tragedja, jak w Sofoklesie, on jest jakby ten Filoktet, już wyraźnie stał się tylko opanowaną przez ironję fermentacją (Justynka jest najdowcipniejszym pisarzem polskim, ale Lemański u nas całkiem popsuł smak, i bajki i przypowieści Justynki drukowane są tylko w pismach partyjnych — są zbyt silne dla mieszczaństwa). W tym kraju — mówiła — wszystko stanęło. Taki Żeromski, albo nawet Sieroszewski, o Wyspiańskim nie mówię. My bądźmy sami dla siebie ojczyzną polskiego mózgu.

Gwiazdy patrzyły na nas, to było przed teatrem, a potem szliśmy ulicami Warszawy samotni, szczęśliwi, swobodni.

Przed świętym krzyżem Justynka miała taki piękny giest: no — powiada — wyprostuj się i ty pójdź spać biedaczysko. Ona jest jedyna w Polsce, ta kobieta. To mi pozwoliło zapomnieć tę straszną gorycz, jaką nas na tym wieczorze napojono i gdyby to nie było egoizmem, byłbym wdzięczny Aleksandrowi, że dał nam moment: ale on nie miał prawa na to liczyć, on nie miał prawa zwracać się do mnie w parę lat później w imieniu dobra ogólnego.

Czy uważacie, jaka w tem była nietolerancja; ja miałem zapominać własnych i Justynki uraz dla tego że coś wydawało się dobrem publicznem Aleksandrowi? W najdrobniejszych szczegółach życia osobistego rozpoznaje się Marxistę od człowieka opanowanego przez bezkrytyczny ideologizm. A Aleksander miał hypertrofję osobistości, on ciągle zajęty był własnemi przekonaniami, własną wiara, a po za tem kryła się niepewność, chęć wzmocnienia własnego samopoczucia przez uznanie, zdobyte u innych. Gdyby nie jego drugorzędność intelektualna, ja mógłbym był pozyskać na niego wpływ; on sam mi powiedział z tą swoją obłudną i wyrachowaną naiwnością: „ja właściwie nie nadaję się do dyskusji publicznych, ile razy czuję przed sobą przekonanie, wypływające z mocnego charakteru, wydaje mi się, że ja nie mam racji, albo że jej mieć nie będę, gdy przeciwko temu stanowisku wystąpię. Czy nie dałoby się pomyśleć — mówił — społeczeństwo dzisiejsze w ten sposób, aby mogło istnieć współdziałanie wyłączających się logicznie stanowisk; bo przecież tu nasza logika jest winna, jeżeli współdziałanie charakterów zostaje uniemożliwione przez abstrakcyjną sprzeczność".

Tędy to wśliznął się Rewera do pokoju, w którym umierał Łaguna. Po tamtej scenie ja już tylko parę razy widziałem Teofila. Ostatni raz przed wyjazdem; byłem przekonany, że się już nie zobaczymy. On mówił rzeczy nadzwyczajne. W nim dopalała się wielka przeszłość, a on wskrzesiwszy, analizował ją: jego krytyki były tak nieprzewidzianie głębokie, tak do żadnych innych niepodobne, że to były wiwisekcje na wskrzeszonym duchu. Ja widziałem tę pracę, to szamotanie się; widziałem jak trudno być nowoczesnym człowiekiem Polakowi. Ale właśnie dlatego, że znałem już prawa narastania tego ducha, utajone metody jego pracy, nie przerażałem się, gdy nagle Teofil przejmował się katolicyzmem i to w stopniu takim, że pogłębiał kwestje liturgiczne, odcyfrowywał znaczenie sakramentów. Nie przerażałem się, gdy wysnuwał on analogję między nami dziś a stronnictwami za Stanisława Augusta. Wiedziałem, że po pewnym czasie z tego powstanie mistrzowska analiza tych właśnie duchowych struktur.

I ta rozmowa miała ten charakter i chociaż uderzały mię i niepokoiły pewne tony, sądziłem że byle tylko zdrowia — to wszystko stanie się czynnikiem nowego pogłębienia. Bywa jednak i nam brak pewnych retorycznych zwrotów, bo jak to powiedzieć w naszym języku: zachowaj Boże; jak znaleźć wyraz, gdy chciało by się własnem ciałem, własną duszą zasłonić kogoś?

(c. d. n.)

J. KADEN.

Spowiedź.

2)

(Dokończenie).

Siostra przełożona oskarżała coraz goręcej. Z oskarżeń tych dowiedział się, że między zwierzchniczką a uczenicą zatarg o spowiedź trwa już od dawna. Że zaczęło się to od skasowania lekcji fortepianu, skończyło na długich postach— dziewczyna zaś ugiąć się nie chce.

— Więc to Stefanja? — powtórzył.

Przełożona w obawie, że ksiądz waha się, opowiedziała raz jeszcze całą sprawę.

Słuchał z radosną ulgą. Uciekały daleko te niesforne wyznania, których zmysłowy plusk niedawno trapił go i ścigał tak dotkliwie. Słaba, grzeszna wiosna, zbrukana wypowiedzią, ginęła bezpowrotnie... Rysował się w myśli szlachetny bój!....

Drażniło już księdza Jana to anielskie piekło, którem przełożona złamać chciała upór Stefanji. Umiał na pamięć te bezlitosne przebaczenia, łagodne zemsty i karzące dobrodziejstwa procedury klasztornej. Przerwał oskarżenie, i poleciwszy przyprowadzić uczenicę do poczekalni, udał się tam co żywo.

Panował tu głęboki mrok wysokich sklepień. Po kamiennej posadzce wlokły się ciche smugi prochu i kurzu. Dzikie wino zaglądało przez otwarte okno, ważąc swe fryzowane pędy na oparciu. W miarę chybotania się jasnej rośliny cień przebiegał po twarzy Chrystusa z kości słoniowej — niczem poniewolny długi dreszcz.

Ksiądz Jan stał przy oknie, patrząc w dal. Lasy zakrzepły w granatowej zlewie gorąca.

Zieleń młodych łanów przeszła w bystre migotanie żywego srebra. Zmarszczone powierzchnie koniczyn gorzały popielatym nalotem. Po bezchmurnem niebie szedł upał, białymi błyskami prując lazury.

Ksiądz uczuł na ramieniu jakby lekkie dotknięcie — raczej czyjś zabieg, troskę, uwagę, która przenikała całą jego postać. Nie odrywając jeszcze spojrzenia od gór, czuł coraz większy niepokój. Niepokój ów wzrastał, wybuchał z serca głuchym naporem gorącego pośpiechu...

Ksiądz mrużył oczy i czując na sobie wciąż tę uwagę, która mu kładła płomienne pieczęcie na usta, spostrzegł nagle, daleko, pod kręgiem słońca nieprzeliczone rzesze skrzydeł brylantowych, skrzydełek wązkich, rozfruwanych, czy ust srebrzystych.... Drżały lekko w bezmiernej harmonji powietrza.

Odwrócił się.

W pośrodku refektarza stała Stefania w czarnej sukni z fioletowym krzyżem, którego ramiona wyginały się na dojrzewających gronach piersi. Białe, długie palce, splecione pokutnie u zbiegu bioder, stanowiły jakoby żywą opokę krzyża. Wyrastał stąd prosto, dążąc pod szyję dziewczęcia. W jej oczach czystych i spokojnych grało dziwne drżenie zielonych świateł — płoche i nieustanne.

Stefanja patrzyła na spowiednika obojętnie. Czarną swą sylwetką przesłaniał jej krajobraz. Widziała głowę księdza, jak na szerokiej stule, na srebrnej wstędze rzeki. Powyżej głowy spowiednika sterczały niczem rogi, rude pnie odległego lasu.

— Dlaczego nie chcesz się wyspowiadać? — spytał odrazu i poprostu.

W oczach Stefanji zamarło zielone źródło blasków. Zimne, turkusowe źrenice objęły księdza dalekiem, obcem spojrzeniem.

Wzruszyła ramionami.

— Czy masz tak wielkie grzechy, że....

I znów wzruszyła ramionami, unosząc w górę ramiona krzyża.

Ksiądz spostrzegł, że penitentka uśmiecha się ku niemu obojętnym, towarzyskim uśmiechem. W jednej chwili rozpętał się w spowiedniku gniew niecierpliwy. Gwałtowny płomień objął wszystkie uczucia i myśli.... Postać dziewczęcia przedzierzgnęła mu się w oczach w czarny, zwarty kłąb dymu, w którego zdradziecko wonnych zwojach gorzał rozwinięty kwiat czerwonego uśmiechu....

Usta są — zaczął wolno ksiądz Jan — świętością, moje dziecię, lub zdradą. Pomyśl, że poza niemi właśnie kryje się twoja dusza. Że jeśli jej ustami nie wypowiesz, nieznaną ona pozostanie dla tych, którzyby ją uleczyć mogli. Że zostanie nieodłącznie przy tobie...

Przestraszył się, widząc w jej oczach śmiałe potwierdzenie tego, co wyrzekł był przed chwilą. Uśmiech nie przestawał drżeć na rozchylonych wargach dziewczęcia.

Odwrócił się ku oknu, by nie uczestniczyć w zgorszeniu.

I nagle z przerażeniem spostrzegł tę samą wiotką niewiedzę uśmiechów, rozsypaną w blasku, hen od nieba do ziemi, wśród błyszczącej wspaniałości gór....

Odwrócił się ku Stefanji i wyciągnąwszy przed się ramiona, tropił, łowił jej duszę podobieństwem słyszanych niedawno występków.

W zwietrzałej, przegniłej krasie ponęty, w ozdobie lutych zakazów, prowadził winy nikłe, skromne....

Szukał ich w jej myśli, może zaledwie pochylonej nad przepaścią, w słowach, w uczyn-

kach prężących się może rozkosznie, zuchwale nad mętną strugą żądzy....

Coraz ciemniejsze oczy Stefanji uchodziły w mgłę, a na ustach płoszył się wciąż ten sam uśmiech milczenia.

Ksiądz Jan stracił ją zupełnie z oczu.... Przemawiał do czarnego posągu, opromienionego złotem światłem włosów, pod którym widniała twarz, biała jak marmur. Wił sploty, wieńce, łańcuchy występków coraz kraśniejszych. Trudną zagadkę milczenia nęcił słowem, w którem płonęły czady przesłuchanych spowiedzi.... Rozszczepiał myśl uciechy, niby kielich kwiatu na płatki i włókna, drżącymi palcami sypał z rozdartych zalążni pył upojenia...

— Hodujesz w sobie to potępienie! krzyknął nagle z mocą.

I wraz pojął, że odebrała mu tajemnice, zwierzone przez inne, ranne wyznaniem usta.

— Żywisz w sobie twoją własną zgubę! — wołał coraz głośniej, słysząc, wołanie swe daleko, rozpalone w iskrach słonecznych.

— Potępiona!!

Odsuwała się w tył.

Zoczył ją w ciszy obojętnego spokoju między białymi filarami.

W czystych, niebieskich jej źrenicach przepływał znów ten sam nurt złotej zieleni. Usta gięły slę ku górze krwawym sierpem uśmiechu.

Stała przed nim, niby żywy zaczyn cudnej, przeraźliwej mocy, broniony poważną strażą wielkich filarów.

Straszliwa cisza upadła na serce księdza Jana... Włócznie słonecznego blasku pchały go w głąb refektarza. Szedł kù uczennicy powoli z groźnym zachwytem w piersi, z rękami wiszącemi wzdłuż ciała, jakby runęła z nich przed chwilą bezpowrotnie cała wiedza życia.

Powieki osunęły mu się na oczy, rodząc w nich szalone ogrody blasków.

Stefania uniosła ręce w górę, kładąc je sobie obronnie na piersi.

Zdało mu się, że całując ją dotknął wargami ust Tajemnicy... Pocałunek nie zaciężył na wzniesionym sierpie uśmiechu.

Ksiądz Jan rzucił się w tył, łkając w głębi wyświechtanej stalli.

Ze zdziwionych oczu Stefanii płynęły nieśmiałe łzy.

W oknie drżała miodna wytężona cisza pól. Jasne pnącze dzikiego wina pełgały lekko po czarnej kamiennej ramie. Nisko i wysoko, po brukowisku i wnękach sklepień płużył tkliwy dreszcz kamieni, trącanych nieśmiałą piersię powiewu.

Płacz księdza kluczył w tej ciszy jak źródło...

Słońce wywinęło się z sztywnych uścisków gotyckiego okna.

Szary upalny blask zaległ góry i niwy, wionąc suchą popielatą łuną cieni.

Ksiądz wyprostował się. Uczennica stała pod ścianą z nieopowiedzianym zdumieniem patrząc na krwawe oczy spowiednika.

Pilnie słuchał samego siebie.

Minęło już to złe oczarowanie...

— Dlaczego się nie chcesz wyspowiadać?...

Gnany głęboką trwogą prosił rzewnie. Prosił, oplatając jej upór troską i strachem własnej duszy... Teraz, teraz właśnie każdem słowem wróżył wolność swym udręczonym skroniom, zdejmował ciężkie okowy. Wiódł w kraj spalony odkupieniem, gdzie rosną i dojrzewają cierpkie owoce pokory.

I nie spodziewał się, że oddał w swej prośbie spowiedź zmylonego serca... Uczennica majaczyła mu w oczach, jak wielki, czarny kwiat. Umykał mu z rąk, chłonął jego prośby, wciągał bezpowrotnie prawdę duszy...

— Odpowiedz! Odpowiedz coś — krzyknął nagle.

— Kiedyż ja nic nie wiem. — Spojrzała na niego łagodnym blaskiem niebieskich oczu, w których palił się wciąż płochliwy nurt zielonych świateł. — Nikomu nie powiem...

Na białej dziewczęcej twarzy zadrżał znów krwawy, słodki sierp uśmiechu.

Ksiądz z płomieniem w oczach ruszył naprzód i wszystką pogardę, wszystko szczęście zaklinając w ruch, wymierzył okrutny policzek. —

Złota głowa uczennicy mijała między filarami.

Słyszał ciche, oddalające się kroki na stopniach kamiennych.

Z twardym pokornym uśmiechem zwrócił się ku oknu.

Cichy szeroki grot słonecznego blasku raził dalekie łany. Błyszczące pędy dzikiego wina, niby pierwsze białe kosmyki pożaru wdzierały się przez ramy okienne. Hen, daleko pod słońcem drżał brylantowy rój roześmianych ust, głoszących pośpiesznie chwalbę jakąś — niesły chaną...

CANGIULLO. Przełożył K. Wroczyński.

Otwarte okna

Coż bardziej jest zachłanne
Po nad rozwarte głębie okienne — —
Otwarte okna!
Nic niema nad was *rozleglejszego*!
Nic niema nad was *wydajniejszego*!

W głąb okien marynarza
okien tak chciwych morza
portów wlewają się zatoki
pełne zawijających
pełne wyruszających
transatlantyków —
W głąb okien awjatora
okien powietrznych eterycznych
zstępuje Niebo tylekroć na bój wzywane lotem —
podobnie jak niezwyciężone kobiety
prowokowane przez nieodpartych donżuanów —
W głąb okien siewcy-rolnika
okien tak cichych tak sielskich
okien jak wargi dosytną żujących run
sączą się polne zielenie
i cyple bławe
dalekich gór —
W czatowne okna Friulu
wżerają się Alpy austrjackie!
W głębie okienek proboszcza
Suną kapliczki —
W suterynicznych lufcikach kokot
trzęsie się filma mężczyzn sunących trotuarami —
Głębie okienne więzienne
kratami cięte — zamknięte — —
a z pod okiennic szulerni
kryjących się w pomroku
tryszczą stalowe błyski
lamp elektrycznych —
Przez okna narzeczonych
Miłość przechodzi
przez okna damy
już nie kochanek wchodzi
lecz mąż —
Księżyc i gwiazdy
niebieskie lampy
niecą blask w ciemnych oknach astronoma —
Z łuków okiennych mnicha
tchnie refektarzy
zaduma cicha —

Przez szyby okien szpitalnych
wpływa martwota cmentarzy —
Okienkiem pijanego włóczęgi
wpada zderzenie pociągów —
Ku oknom zakonnic dewotek
zbliża się raj
a w okna szkół nie wbiegają
wakacje
lecz spozierają w nie chyłkiem —
Chwieją zalotnie
te wakacyjne podniety
gałęźmi czarów letnich
acz obraz dnia wakacji
mija niestety
przy pracy.
I śmieją się w okna szkół
tęcze kwiatowych łąk
jakgdyby były dla dzieci
i przeolbrzymi bezkres nieba
lazurowymi pocałunkami
chyląc się chyląc
pieści skwiecone łęgi.
A tam w niebieskiej zawrotnej głębi
widnieje dal
jakby rozbłękitnionych fal
zwolonych od żagli chmur
któreby śmiały przesłonić słońce.
I gdy bakałarz rozewrze okno
wkroczy w nie maj
Marjański przeczysty szkarłatny
miesiąc poziomek, czereśni, róż.
— — — — — — — — —

Przez wielkie okna obserwatorjów
tłoczą się dni panoramy
acz żadna z nich nie padła jeszcze
w oczy badaczy
Kosmosu —
W okno Poety
zstąpa Poezja
a wszyscy wieszcze
wychodzą z mego okna —
Pod romantycznem oknem liryka
czai się brud
a poprzez szybki wojażera
pod okienkami wagonów
przebiega pejzaż
jako li sprawdzian kalkulowanej szybkości.

M. DĄBROWSKA.

Miasto przyszłości.

Korespondencja z Londynu.

4.

— Zanim przejdziemy do najnowszej, budującej się części, miasta-ogrodu, — zapowiada nasz przewodnik—pokażę wam nasz klub.

Idziemy tedy ulicami pełnemi wielobarwnych kwiatów, zdobnemi w zaciszne ludzkie siedziby. Na obszernym odkrytym placu znajduje się lekki i estetyczny gmach klubu.

Bo wśród wielu celów, Towarzystwa miast-ogrodów mają jeden wysoce interesujący. Usiłują one między ludźmi, zamieszkującymi jedno skupisko, przywrócić dawną obywatelską i towarzyską łączność, która zatraciła się w wędrownym zgiełku dzisiejszych miast.

Pobudzić wzajemną sympatję ludzi zamieszkujących jedno miasto, zacieśnić między nimi węzły wspólności *ludzkich* interesów i sąsiedzkiej przyjaźni.

W tej atmosferze krzewią się na terenie miasta-ogrodu bujnie wszelkiego rodzaju towarzystwa: rekreacyjne, kulturalne, artystyczne, a nawet religijne. Współżycie sąsiedzkie staje się przedmiotem istotnych rozkoszy kulturalnych. Klub Towarzystwa w Golders Green jest jednym z najtańszych w Anglji.

Należenie bowiem do niego dla członków towarzystwa kosztuje jeno 6 szylingów rocznie na osobę.

Za tę sumę członkowie korzystają ze wszystkich udogodnień klubu a więc: z sali ogólnej na bale, koncerty, przedstawienia amatorskie, meetingi, z czytelni, z sali na gry towarzyskie przeznaczonej, z sali bilardowej i t. d.

Nazewnątrz gmachu w otoczeniu czarujących wzgórz — klubowe place tenisowe.

Opuszczamy klub z wrażeniem, że jeśli Anglja jest wogóle krajem umiejętności w organizowaniu życia, to miasto-ogród jest jednym z najtypowszych tej umiejętności przykładów. Oprócz klubu towarzyskiego, Golders Green posiada uniwersytet popularny i szkołę, która jest również własnością miasta-ogrodu.

Towarzystwa miast-ogrodów otaczają wychowanie dzieci specjalną pieczołowitością. Ba, toć pysznią się one tym, że wychowują najzdrowsze pokolenie młodych Anglików; że najmniejsza jest w nich śmiertelność i najniższy odsetek chorób dziecinnych. Gdy w Londynie umiera 107,9 dzieci na tysiąc, w Letchworth, tktóre już nie jest dzielnicą ogrodową, ale całkowicie miastem-ogrodem, umiera ich na tysiąc ylko 31,7.

5.

— Czy ustawa Towarzystwa nie pozwala żadnemu z mieszkańców tych ślicznych domków zostać jego właścicielem? — zapytuję.

Nasz przewodnik zatrzymuje się i patrzy z rozrzewnieniem na szary domek, z przytulnie nawisłym czerwonym dachem, i z białą firanką w ukwieconych oknach.

— Nie. Nikt z mieszkańców miasta-ogrodu nie może powiedzieć: ten oto dom jest tylko mój. Ale każdy może powiedzieć: ten dom jest *także* i mój. To są wszystko *nasze* domy.

„Nie mój, nie twój, jeno nasz gromadzki“. Domki te tchną nawskroś rodzinnym nastrojem, uwzględniają w całości indywidualne potrzeby nawet samotników, dają w wysokim stopniu poczucie tego, co my byśmy uznali „u siebie“ a co Anglik określa słowem „home“.

— Tutaj na prawo widzą państwo dwa kościoły. Jeden jest anglikański, drugi przeznaczony jest dla ludzi wszystkich innych wyznań i przekonań religijnych. Tam śród drzew widzą państwo maleńki domek. To domek sekty kwakrów, którzy mają wielu zwolenników śród członków towarzystwa. Te domy boże budowane są oczywiście ze składek wiernych.

A tu zaś na lewo...

Na lewo jest olbrzymia łąka uwieńczona wzgórzami. Z boku lasek. Panuje niewysłowiona cisza. Wydaje się wprost nieprawdopodobnym, że tuż za wzgórzami huczy najbardziej w świecie męczące miasto.

— Tu na lewo, mówi nasz przewodnik, odbywają się doroczne historyczne święta. Na nich rozdajemy nagrody tym mieszkańcom, którzy najpiękniejsze ogrody wokoło swych domów utrzymują.

Rozstrzyga o nagrodzie nie *jury*, ale głosowanie całej ludności miasta-ogrodu.

Jakże dziwnie łagodnie brzmią te słowa o treści w Polsce nieznanej.

Przewodnik nasz opowiada dalej:

Towarzystwo nasze zatrudnia przeszło 1000 robotników. Staramy się, żeby płace ich były jaknajwyższe i warunki pracy jaknajlepsze, a sama praca jaknajbardziej twórcza, świadoma, mądra, ludzka.

To też udostępniamy robotnikom, ile możemy zdobycie ogólnego rozwoju duchowego i fachowej wiedzy. Mamy tu bibljotekę, z której robotnicy korzystają nieomal darmo, bo są tylko obowiązani raz w rok zrobić dowolną składkę na jej rzecz.

Nic też dziwnego, że conajmniej 15% naszych robotników staje się członkami i mieszkańcami Towarzystwa.

Na skraju lasu nasz przewodnik zatrzymuje się jeszcze:

— Tam na łące obecnej utworzymy prawdopodobnie rynek spożywczy dla naszego miasta. Dziś towarzystwo pobudowało sklepy i wynajmuje je prywatnym przedsiębiorcom, ale to nie wystarcza —

— A czy nie możnaby zorganizować spożycia drogą kooperacyi spożywczej? Wszak mieszkańcy miast-grodów tworzą zbiorowość doskonale się nadającą do tego rodzaju poczynań —

— I tak prawdopodobnie będzie w przyszłości, uśmiecha się p. Page.

— Wówczas miasto-ogród będzie istotnie jednostką nowego życia zbiorowego. —

Na skraju lasu żegnamy pana Page. Mamy serca pełne wdzięczności, że tak blisko przyjrzeliśmy się czemuś, co tutaj jest realną rzeczywistością, a u nas wciąż ma jeno barwy marzenia.

6.

Zaczyna padać niespodziewany deszcz. To usposabia do melancholijnych rozmyślań. Rzecz prosta o Polsce, o Polsce, w której gnieździmy się bardzo brzydko, niechlujnie, jakgdybyśmy, byli jeno wędrownymi na tej ziemi koczownikami. O Polsce, w której właśnie obcym oddaliśmy niemal wszystkie domy miast, by rzecz tak śliczna jak mieszkanie człowieka służyła jeno za przedmiot zysku i wyzysku. O Polsce, gdzie w suterenach ludzi biednych, zamiast słońca i powietrza, przeprowadzone bywają rury miejsc odchodowych. O Polsce, gdzie bezkarnie zupełnie przedsiębiorca kapitalistyczny może wszystką ubogą ludność miast pozbawić przestrzeni, powietrza, piękna, zdrowia i ostatnich krwawych pieniędzy; gdzie może on to czynić *bez żadnego kresu*, korzystając z urągliwej pobłażliwości sfer od nas niezależnych i — z niemocy społeczeństwa, które ma ręce związane...

Listy do Redakcji.

Szanowny Redaktorze!

Pomieszczony przed kilku tygodniami w „Prawdzie" mój list otwarty, w którym wyraziłem przekonanie, że świeżo założone przez p. Wasercuga pismo „Widnokrąg" będzie prowadzone w tym samym duchu, co niedawno przez tegoż pana W. założony i zwinięty „Tydzień" — wywołał aż dwie odpowiedzi równie niedorzeczne, jak brutalne.

Nie mogąc zapełniać pism, których jestem współpracownikiem, sprawami w pewnym stopniu osobistymi, nie replikowałem na te odpowiedzi, tymbardziej, że dopiero obecne moje rachunki czysto pieniężne z pp. J. Wasercugiem i Jerzym Jankowskim, wynikłe z tytułu „Tygodnia" zostały ostatecznie wyjaśnione, w tym znaczeniu mianowicie, że nigdy wyjaśnione nie będą.

Wobec tego — proszę Cię, Szanowny Redaktorze, o umieszczenie niniejszego faktycznego przedstawienia sprawy, o którym sąd pozostawiam ogółowi.

W jesieni 1912-go r. p. Wasercug zaproponował mi wzięcie udziału pieniężnego, oraz współpracownictwo w piśmie „Tydzień", którego redaktorem odpowiedzialnym miał zostać p. J. Jankowski. Ponieważ pp. W. i J. nic nie mówili o ograniczaniu mnie w swobodzie wypowiadania się, zdyskontowałem p. Wasercugowi w jednym z Tow. Wzajemnego Kredytu, gdzie mam kredyt, weksel na Rb. 500, oraz udzieliłem poręczenia w jednym z Tow. Poż. Oszcz. na pożyczkę na drugie Rb. 500. Słowem — p. Wasercug otrzymał, dzięki mnie, Rb. 1000 na założenie „Tygodnia", — przyczym ani słówkiem nie wspomniał, zarówno, jak i p. J. Jankowski, że mogę być pozbawiony możności wypowiadania mojego zdania w „Tygodniu". Ponieważ w kwestji żydowskiej już wówczas istniały pomiędzy nami pewne różnice, więc umówiliśmy się, że kwestję tę poruszać będziemy nie inaczej, jak za wspólnym porozumieniem.

W listopadzie 1912 r. „Tydzień" zaczął wychodzić, ja zaś wyjechałem do Paryża. Ponieważ w pierwszych numerach „Tygodnia" pp. W. i J. poruszyli kwestję żydowską, więc i ja zażądałem dla siebie tego samego prawa, oraz posłałem odpowiedni artykuł, którego myślą przewodnią było, iż *z zastrzeżeniem pierwszeństwa dla kooperatywy publiczność polska powinna popierać raczej handel i przemysł polski, nie zaś cudzoziemski, przyczym za polskie uważam przedsiębiorstwa, prowadzone przez Polaków wszystkich wyznań, z mojżeszowym włącznie.*

Ten punkt widzenia został uznany przez pp. W. i J. za antysemicki, artykuł mój odrzucono, oraz możność postawienia i obronienia tego zapatrywania w „Tygodniu" odjęto mi.

Wobec tego w styczniu 1913-go r. przestałem być współpracownikiem „Tygodnia", oraz uważałem, że — ponieważ mój udział pieniężny jest ściśle związany z udziałem umysłowym — pożyczki, jakie dzięki mnie otrzymał p. W., wyłącznie jego obciążają.

W październiku 1913 r. nadszedł termin płacenia wekslu. „Tydzień" kilka miesięcy przedtym został zwinięty, a jednocześnie p. Wasercug zawiadomił, że będzie wydawał nowe pismo „Widnokrąg" W tych warunkach, tym bardziej uważałem, że weksel powinien być zapłacony przez p. Wasercuga.

Sąd polubowny, pomiędzy mną a p. Wasercugiem (złożony z pp. A. Mogilnickiego, L. Supińskiego, Śmiarowskiego, Aksta i Makowskiego), zdecydował, że weksel na rb. 500 obciąża mnie, gdyż był udziałem niedomówionej spółki. Co zaś się tycze likwidacji zbankrutowanej spółki „Tydzień" — to, zdaniem sądu, winienem się zwrócić nietylko do p. Wasercuga, lecz i do p. J. Jankowskiego.

Wskutek tego, za pośrednictwem p. A. Mogilnickiego, zwróciłem się z żądaniem zdania rachunków z „Tygodnia" do obydwóch tych panów.

P. Wasercug zgodził się, uprzedzając jednak, że *nic nie wie, gdyż na kilka tygodni przed zwinięciem „Tygodnia" wystąpił z niego.* P. J. Jankowski *zaś żadnej odpowiedzi nie dał.*

A więc drugi sąd polubowny odbyć się nie może.

Pozostaje mi wprawdzie zwykła droga sądowa. Nie będę z niej korzystać. Zupełnie mi wystarcza powyższe przedstawienie rzeczy. Jestem pewien, że w oczach wszystkich ludzi, mających pięć zdrowych zmysłów i minimalne pojęcie o uczciwości, oczyści mnie ono najzupełniej ze wszystkich niedorzecznych

zarzutów, jakie mi pp. W. i J. stawiają, pragnąc ukryć własne winy.

Na tym wszelką polemikę z tymi panami kończę.

Racz przyjąć, Szanowny Redaktorze, wyrazy mojego wysokiego ;poważania.

Jerzy Kurnatowski.

Paryż, 26 grudnia 1913 r.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 2-ej do 3-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

OGŁOSZENIA

po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE.

Cechą charakterystyczną otyłości stanowi nadmierne nagromadzenie się w tkankach tłuszczu, który utrudnia działalność narządów, i stanowi źródło ustawicznych udręczeń w życiu codziennym chorego i staje się powodem ciągłego niepokoju o zdrowie.

Spostrzeżenie przekonywa, że kobiety częściej podlegają otyłości, aniżeli mężczyźni, a to dzięki większej skłonności płci pięknej do tego cierpienia z powodu pewnych właściwości ustroju kobiecego.

Z drugiej zaś s rony, otyłość nie stanowi rzadkości i wśród dzieci, u których to cierpienie dochodzi niekiedy do znacznego stopnia rozwoju.

Leczenie otyłości dało dowód doświadczeniu do stworzenia całej masy bezzasadnych i wprost naiwnych przepisów postępowania, które stały się bogatą kopalnią, skąd szczodrą ręką czerpała szarlatanerja wszelkiego rodzaju. To też przy wyborze środków w omawianym wypadku należy być wielce ostrożnym.

Niezmiernie ważną jest rzeczą aby leczenie otyłości było stosowane stopniowo i w sposób łagodny: strata 5 do 7 funtów na miesiąc, trwająca stale w ciągu określonego czasu w większości wypadków powinna być uważana za wystarczający wynik kuracji. Taki umiarkowany ubytek wagi jest zwykle znacznie trwalszy, aniżeli gwałtowny jej spadek. Dlatego też po kilkodniowym leczeniu należy przerwać kurację na 12 dni i dopiero po tej przerwie rozpocząć ją na nowo.

Z pośród wielu środków, stosowanych przeciwko otyłości, najgodniejszym polecenia jest jeden, działający pewnie i zupełnie nieszkodliwy dla ustroju, który będąc stosowanym przez lekarzy od 6 lat, dał im sposobność przekonania się o jego skuteczności: „JODYRINA" (IODHYRINE) odkryta przez D-ra Deschamp'a znanego lekarza francuskiego, jest właśnie tym lekiem, na który zwracamy uwagę.

JODYRINA wzmaga wydzielanie się żółci i przyspiesza przemianę materji i istotnie odmładza ustrój, przywracając chorym utraconą energję i żywość ruchów, stanowiący rażący kontrast z poprzednią chorobliwą ociężałością i ospałością. Chorzy czują się silniejszymi, posiadają więcej energji i stają się zdolniejszymi do większych i dłuższych wysiłków; chód ich przestaje być ociężałym, mniej się pocą, wyzbywają się senności, trawią lepiej, dzięki czemu sen ich nie pozostawia nic do życzenia.

Opierając się na sześcioletnim doświadczeniu najwybitniejszych lekarzy całego świata, możemy z całą stanowczością zapewnić, iż stosowanie Jodyriny przeciw otyłości stanowi jedyny i zupełnie racjonalny środek leczenia tego cierpienia, sposób który nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla ustroju, a który został zbadany dokładnie i oparty na wiedzy czysto naukowej.



Skutek 3 miesięcznej kuracji Jodyriną D-ra Deschamp'a.

Tysiące zaświadczeń, ustawicznie nadsyłanych na ręce D-ra Deschamp'a stanowi prawdziwie „złotą księgę" Jodyriny. Powyższe zaświadczenia mają tym większą wagę, że są nadsyłane z własnej inicjatywy chorych co też zniewala D-ra Deschamp'a do zachowania dyskrecji i do nieogłaszania ich bez bezpośredniej zgody osoby zainteresowanej.

JODYRINA D-ra Deschamp'a nietylko jest lekiem swoistym przeciwko otyłości, ale, będąc stosowana zapobiega temu cierpieniu u osób, dotkniętych artretyzmem, dną (podagrą, gośćcem, reumatyzmem), małokrwistością u kobiet, zbliżających się wiekiem do okresu przekwitania i t. p. słowem u wszystkich, którym w krótkim czasie grozi otyłość. We wszystkich tych przypadkach nie należy zwlekać z rozpoczęciem kuracji, gdyż każde opóźnienie często pociąga za sobą niepożądane skutki, nierzadko jest połączone nawet z niebezpieczeństwem dla samego ustroju.

EMIL GAUTIER

Sprawozdawca naukowy czasopisma paryskiego „Le Journal".

JODYRINA D-ra Deschamp'a znajduje się w sprzedaży we wszystkich aptekach, składach aptecznych po cenie Rb. 4.25 za pudełko zawierające 60 pastylek w opłatkach.

Przy pudełku dołączony jest szczegółowy opis ze sposobem użycia w języku polskim. Reprezentacja Główna na Rosję i Królestwo Polskie: Dom Handlowy Luxemburg i S-ka, Żórawia 40, w Warszawie.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.